

# WSPOMNIENIA O SACHSENHAUSEN

Po raz pierwszy na łamach „Alma Mater” prezentujemy fragmenty wstrząsających wspomnień o obozie w Sachsenhausen autorstwa Wandy Chrzanowskiej – żony Ignacego Chrzanowskiego, autora *Historii literatury niepodległej Polski*, od 1910 roku profesora historii literatury polskiej na Uniwersytecie Jagiellońskim, wydawcy 50 tomów „Prac Historycznoliterackich”, zawierających głównie rozprawy jego uczniów. W 1931 roku, po podpisaniu protestu przeciwko procesowi brzeskiemu, prof. Ignacy Chrzanowski został przeniesiony na emeryturę. W dalszym ciągu jednak prowadził wykłady, a w 1936 roku został mianowany profesorem honorowym UJ. 6 listopada 1939 roku znalazł się w grupie uczonych aresztowanych w ramach Sonderaktion Krakau i wywiezionych do obozu w Sachsenhausen, gdzie zmarł na zapalenie płuc 19 stycznia 1940 roku. Żona, Wanda Chrzanowska, razem z córką Hanną odbyła swoistą pielgrzymkę do miejsca śmierci męża i ojca, a pozostawione wspomnienia są świadectwem tamtych tragicznych wydarzeń.

W rękopisie wspomnień znalazły się także fragmenty dotyczące syna Bohdana. Urodzony w Warszawie w 1900 roku Bohdan Chrzanowski „Dań”, jako oficer Wojska Polskiego, zmobilizowany 31 sierpnia 1939 roku, dostał się do niewoli radzieckiej i został zamordowany w Katyniu w 1940 roku. Był doktorem filozofii, nauczycielem propedeutyki filozofii w gimnazjach krakowskich. W roku 1938 przywiózł ze Szwajcarii żonę Fery (Ferdynandę Horvath) pochodzenia węgierskiego, a w roku 1939 urodziła im się córeczka Wanda. Obie spędziły wojnę w Krakowie razem z matką i siostrą Bohdana – Hanną, a następnie wyjechały do Szwajcarii.

Hanna Chrzanowska, dwa lata młodsza od brata, była absolwentką Warszawskiej Szkoły Pielęgniarstwa, po odbyciu rocznego stypendium Fundacji Rockefellera we Francji, instruktorką Uniwersyteckiej Szkoły Pielęgniarek i Higienistek w Krakowie, autorką wielu artykułów do miesięcznika „Pielęgniarka Polska” drukowanego w Krakowie w drukarni „Głosu Narodu”, współtwórczynią ustawy o zawodzie pielęgniarki z 1935 roku.

Niemal od początku wojny Hanna pracowała społecznie w Dziale Obozów Sekcji Charytatywnej, która powstała we wrześniu 1939 roku. Starano się w niej pomagać przejeżdżającym przez Kraków, szukano dla nich noclegów, rozdawano posiłki, ułatwiano kontakty na dalszych etapach podróży, troszczono się zwłaszcza o dzieci. Ważnym miejscem pracy był Dworzec Główny, gdyż tu udzielano pierwszej pomocy uchodźcom przybywającym w transportach liczących niekiedy i kilka tysięcy osób. To właśnie z Hanną odbyła wdowa po profesorze podróż do Sachsenhausen.

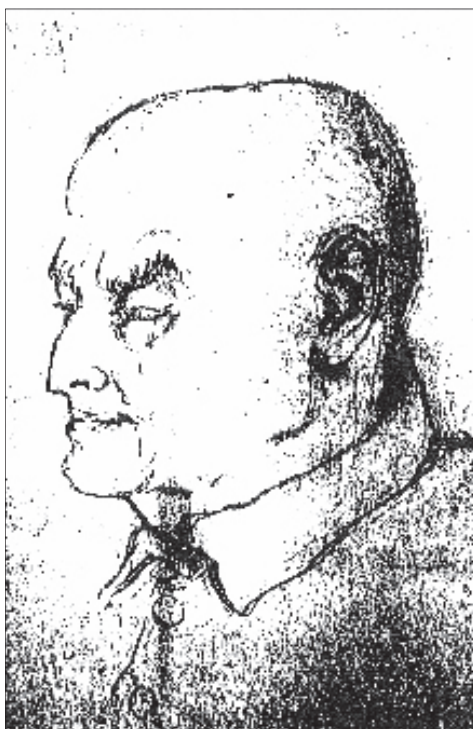
Żona profesora, Wanda Chrzanowska, pochodziła ze znanej warszawskiej rodziny przemysłowców. Jej ojciec, Karol Szlenkier, rozbudował w Warszawie garbarnię na rogu ulic Leszno i Żelaznej, stworzył filie garbarni w Bercyżowie, gdzie wokół fabryki założył ogromne ogrody, do których importował cebulki kwiatowe, krzewy i drzewka ozdobne z Belgii i Holandii. Jako pierwszy w kraju zaczął sprowadzać skóry z krów indyjskich, jeździł do Chin i Indii,

założył w Warszawie fabrykę firanek. Był jednocześnie filantropem i społecznikiem. Zorganizował w swych zakładach system ubezpieczeń na starość, stworzył kasę chorych, założył dla dzieci robotników trzyklasową szkołę utrzymywaną własnym sumptem. Często też wspierał swoich pracowników w potrzebie i czynił to bardzo spontanicznie. Zmarł w 1900 roku. Mówi się, że jego trzy córki: Maria, Wanda (żona profesora) i Zofia, a także syn Karol Stanisław odziedziczyli majątek wartości około 6 milionów rubli, przy czym dwa ruble równały się wówczas jednemu dolarowi. Zgodnie z wolą zmarłego pół miliona rubli przeznaczone było od razu na cele charytatywne i społeczne, znaczne sumy zostały wydane także na podobne cele przez spadkobierców.

Wanda Chrzanowska zmarła w 1951 roku, a wiele lat później wśród pamiętek po zmarłej 29 kwietnia 1973 roku córce Hannie Chrzanowskiej jej spadkobierczyni Janina Niklewicz odnalazła wspomnienia z wydarzeń Sonderaktion Krakau spisane niemal na gorąco, od 16 czerwca do 11 lipca 1940 roku, przez żonę profesora.

## WANDA CHRZANOWSKA WSPOMNIENIA O SACHSENHAUSEN

*Tak dobrze pamiętam ten wieczór w pierwszych dniach listopada 1939 roku, gdy prof. Splawiński przyszedł do nas podczas kolacji, by opowiedzieć Ignasiowi, że była u niego, jako u rektora, jakaś wysoka figura niemiecka, która pochwaliła uchwałę senatu, by rozpocząć wykłady uniwersyteckie. Jednocześnie jednak oznajmiła, że przedtem władze niemieckie chcą się porozumieć z ciałem profesorskim co do stanowiska niemieckiego wobec uniwersytetu. Prosił zatem ów Niemiec, aby Rektor zaprosił jak największą ilość profesorów, o ile możliwości wszystkich, na oznaczony dzień i godzinę do auli. Rozmowa ta odbyła się nie tylko przyzwyczajenie, ale niemal uprzejmie, tak że Rektor był jak najlepszej myśli, uważał, że to „porozumienie”, czy też oświadczenie władz niemieckich może być bardzo interesujące i nie namawiał, ale zachęcał Ignasia, żeby też poszedł, choć jako emerytowany profesor nie miał obowiązku ani też*



Prof. Ignacy Chrzanowski w obozie koncentracyjnym Sachsenhausen. Rysunek prof. Heydla

nie był już – jako nie wykładający – zainteresowany w tym bezpośrednio.

Ale Ignas, tak każdym nerwem związany z uniwersytetem, bez wahania powiedział, że oczywiście pójdzie. Wysłuchałam tego zupełnie spokojnie, uważając postanowienie Ignasia za naturalne i rozumiejące się samo przez się – tak dalece, żeśmy już o tym nawet nigdy z sobą więcej nie mówili.

Zdaje mi się, że 4 listopada odbyło się nabożeństwo w kościele św. Anny, jak co roku przed rozpoczęciem wykładów, ale nie jestem tego pewna.

Niedziela 5 listopada była to czterdziestoletnia rocznica naszego ślubu... I właśnie wypadła w niedzielę, tak jak w 1899 roku nasz ślub. Obeszliśmy ją we dwoje w cichości naszych serc, w poczuciu naszego wielkiego wzajemnego umiłowania, spędzonych lat szczęścia w wyjątkowej harmonii. Ze smętkiem jednak wobec położenia Polski, wobec nieszczęść w rodzinie i niewiadomości, co się z Dańkiem [Bohdanem Chrzanowskim] dzieje. (Ignas uwierzył p. Zarembie, ja – nie), że go z daleka widział po cywilnemu w cukierni Zaleskiego we Lwowie.)

W poniedziałek 6 listopada widziałam Ignasia przy śniadaniu – ale nic nie wspominał, że na 12-tą idzie do uniwersytetu na owe zebranie, a ja tak byłam daleka od podejrzenia jakiegokolwiek, że zupełnie zapomniałam, że się ma odbyć tego dnia.

Wróciłam z miasta na obiad, a za chwilę przyszła do mnie ciotka Rektora, pytając, czy Ignas wrócił do domu, bo dowiedziała się, że wszystkich profesorów na tym zebraniu aresztowali i dokądś zawieźli. Po chwili powiedziała mi to samo pani Konopczyńska.

Cóż mówić o wrażeniu moim i Hani?

Nie miałam czasu na załamywanie rąk. [...] Żyłoby się jak w gorączce. Nadeszła wiadomość, że profesorowie są w więzieniu na Montelupich, że nic im zanieść nie można. Potem dowiedziałam się, że jednej z pań udało się dostarczyć lekarstwo dla chorego męża. Później, później dowiedzieliśmy się, że profesorowie cały dzień i noc spędzili na gołych deskach, a czarną „kawę” z kawałkiem chleba dano im dopiero nazajutrz rano.

We wtorek wiadomość, że przewieziono wszystkich do koszar 20. Pułku Piechoty na Mazowiecką i że będzie można im dostarczyć najpotrzebniejsze rzeczy po południu, może się z nimi zobaczyć.

Złapałam doktora Wysockiego, by mi dał lekarstwo dla Ignasia na uspokojenie i jednocześnie trochę nasenne. Spakowałam walizkę z ubraniami, kocem, drobiazgami toaletowymi, trochę żywności. O drugiej z Hanią i paru paniami dorożką na Mazowiecką. Przed zamkniętą bramą już tłum pań: żon, matek, córek. Podniecenie nerwowe, czy zobaczymy uwięzionych – u jednych nerwowa wesołość, budząca sprzeciw i irytację innych, „że się zaszkodzi” (?!), u kilku łzy. Naraz w oknach najbliższego

budynku na pierwszym piętrze ukazują się profesorowie. Podniecenie rośnie, każdy stara się dojrzeć swego najdroższego. „Jest, jest! Nie, to nie on!”... Naraz zabielała za szybą cudna, siwa czupryna... Czy nas widzi? [...] Zdaje się, że dojrzał... [...] Widzimy Ignasia za szybą, my się uśmiechamy, on też, Hanus skacze, on też, ostatni raz robią do siebie zabawne miny. To trwa, to trwa – kiedyż nas puszczą do nich, żeby oddać im rzeczy, może zobaczyć, może uściskać? Niektórzy z panów dają jakieś znaki, coś piszą palcem na szybach, wreszcie przykładają 5 palców ręki do szyby. To miało znaczyć, że nam do 5-tej czekać wypadnie...

Niestety, niestety, Hania miała o 4-tej dyżur w herbaciarni na stacji, nie mogła już dłużej zostać, ale przecież jutro znów Tatusia zobaczy!

O 5-tej każą nam się ustawiać parami przed bramą. Jakoś byłam w pierwszych rzędach. Serca biją, biją. Ale twarze pogodne, wiele uśmiechniętych – po co mają Niemcy tryumfować, że nas moralnie zgnietli od razu?

Otwierają bramę. Kierują naprzód prosto, potem na prawo na dziedziniec przed ów gmach i każą się ustawiać w jednym szeregu prostopadłe do drzwi. Jestem niezbyt daleko drzwi. Przed nami ustawia się szereg żołnierzy. I widzimy po chwili przez okna, jak schodzą z pierwszego piętra profesorowie. Czekam ze drżeniem, kiedy zobaczę Ignasia. Wychodzą z gmachu i poza szeregiem żołnierzy ustawiają się szeregiem naprzeciw nas. Ci, co wyszli pierwsi, idą najdalej. Ignasia wciąż nie ma. Jest! Ale ponieważ ja byłam niedaleko drzwi, a on wyszedł jeden z ostatnich, więc stanął też niedaleko drzwi – stanął naprzeciw mnie.

Uśmiechnął się od razu do mnie, ale uśmiechem niewesołym, wymuszonym. [...] Przystąpiłam do Ignasia. „Gdzie Hania?”. „Musiała pójść na stację”. „To może długo potrwać”. Rzuciłam się, by Ignasia uściskać. Nie myślałam ani na chwilę, że to był ostatni pocałunek. [...]

Znikł mi Ignas za drzwiami i już go więcej nie zobaczyłam. – Potem w trumnie, ale czy to był już Ignas? [...]

A potem ten czwartek, ten straszny czwartek. [...]

Idziemy z Hanią o 2-giej na Mazowiecką. Nie uszliśmy nawet pół drogi, gdy jacyś państwo wracający z tamtej strony mówią: „Nie ma po co iść, pociąg już odjechał”. Myślimy, że to nieporozumienie! „Jaki pociąg?”. „Z profesorami”. Grom. [...]

Dokąd wywieźli? W jakie warunki? Całe mnóstwo niestworzonych plotek przez szereg długich dni. To, że część jest w Krzeszowicach, to w Opolu, to we Wrocławiu.

Nazajutrz po wywiezieniu, tj. w piątek, przyszedł do naszego domu jakiś z gestapo z tym, żeby w 2 godziny opuścić mieszkanie „Nur mit Leibwäsche” (tylko z bielizną osobistą). Do tego zaciemnili elektryczność podczas tych 2 godzin, od 4-tej do 6-tej.



Bohdan Chrzanowski



Wlecze się czas. [...] Wtem w ostatnich dniach listopada wypuścili prof. D. [prof. Jana Dąbrowskiego], a resztę 27 XI wywieźli do obozu koncentracyjnego Sachsenhausen pod Oranienburgiem, o 3 kwadrans kolejką od Berlina.

Teraz już rozpacz i straszny niepokój. Jak Ignas tę zimę przetrzyma przy swoim chronicznym bronchicie i rozedmie płuc? [...] Tymczasem zaczęły się mrozy, te straszne mrozy okropnej zimy z 1939 na 1940 rok. Coraz większy lęk o zdrowie – nie o zdrowie już, ale o życie Ignasia. W drugiej połowie grudnia list z Sachsenhausen, nie datowany, na stemplu pocztowym na kopercie data 1.12.39 r., który mi służąca przyniosła ze Słowackiego na Radziwiłłowską, bo Ignas do końca się nie dowiedział, że nas z mieszkania wyrzucono. Napisały dzieci do Rektora, że wszystkich z domu uniwersyteckiego usunięto, ale Rektor ani inni koledzy tego Ignasiowi nie powtórzyli, a ja nie pisałam, bo chciałam, żeby się o swoje papiery i książki nie niepokoił. List ten brzmiał tak:

„Mój dokładny adres: Nr 5282, blok 45, obóz koncentracyjny Sachsenhausen, Oranienburg pod Berlinem.

Moja najukochańsza! Jestem zdrowy. Co z Tobą, dziećmi, krewnymi? Pisz do mnie tylko o rzeczach najważniejszych! Tylko Ty jedna możesz pisać do mnie dwa razy w miesiącu prosty, krótki list po niemiecku, atramentem, z podaniem nadawcy. Masz prawo przysyłać mi co tydzień do 15 marek. [...]

Jeszcze nie zapłaciłem drugiej połowy podatku dochodowego za rok 1938. Tę część trzeba teraz zapłacić w Izbie Skarbowej w Krakowie (róg ulic Wiślniej i Gołębiej). Pieniądze znajdziesz w dwu szufladach mego biurka.

Serdecznie całuję Ciebie, Hanię, Marię, Zofię i jej męża. Twój Ignacy Chrzanowski”. [...]

A tymczasem wciąż mróz straszny, znów coraz to wieść o śmierci któregoś z profesorów, o jazdach wdów do Sachsenhausen – do trumien... Trwoga. Straszliwa trwoga – gorzej – bo wkrada się beznadziejność.

I znów kartka od Ignasia, pisana w samą Wilię, a brzmiąca jak ostatnie pożegnanie:

„24 XII 1939. Moja najdroższa! Jestem Ci bardzo wdzięczny za dobre wiadomości rodzinne. Wierz mi, że nigdy nie kochałem Cię tak mocno jak teraz. Nie tracę nadziei, że i o Dańku dowiemy się czegoś dobrego. [...] Ściskam Cię. Twój Ignacy Chrzanowski”.

Dostałam ją w styczniu – nie pamiętam kiedy, ale w szereg dni po Nowym Roku.

Włoką się dni. Mróz wielki. Ciągła myśl o tym, jak Ignasiowi zimno i głodno. Coraz nowe wiadomości, że ktoś z nich umarł. Strach, że wróciwszy do domu, zastanę na stole telegram z ostateczną wiadomością... Co dzień pierwszy rzut oka na stół. Nic nie ma. Jeszcze nic nie ma. Wiadomość o śmierci prof. S na zapalenie płuc. Na zapalenie płuc, którego tak się obawiam.

19 stycznia w piątek i 20 w sobotę jestem tak przygnębiona, że sobie dać rady nie mogę. [...] Hania w niedzielę zaplakuje

się w kościele. Ale żyjemy normalnie, obie czynne w pracy nad wysiedleńcami, ja już mniej, bo obóz ich zwinięto, więc nawet w niedzielę i w poniedziałek odwiedzam znajomych, choć szalona trwoga nie opuszcza na chwilę. [...]

We wtorek, 23-go budzi nas rano o 7-ej światło w przedpokoju poprzez szyby szklane u drzwi i jakaś rozmowa. Pukanie. Przerażenie. Wchodzi Magdzia i Marynia [kucharka i pokojówka]. Wołają: „Pan umarł”. Hania leży cichutko. [...]

Leżałam przerażona przez długą chwilę, wreszcie wstałam i podeszłam do Hani, by ją utulić. Plakałyśmy mało. Jeszcze ja płacząc łatwiej, ale Hania tak trudno. Zaraz do gestapo starać się o pozwolenie na wyjazd do Berlina. [...]

Rano, we czwartek 25 stycznia po godzinie 8.00 zajechaliśmy do Berlina. Prędko do hotelu, by zostawić tam walizkę, wypić przywiezioną kawę i z powrotem na dworzec, by kolejką podmiejską pojechać do Oranienburga. Po trzech kwadransach wysiadamy w Oranienburgu. Dzień cudny, słońce, błękit, śnieg przy paru tylko stopniach mrozu. Jeszcze przeszło 2 km pieszo do Sachsenhausen. Idziemy szeroką, wysadzaną drzewami ulicą, raczej aleją, potem skręcamy w lewo – wille z ogródkami, koszary i jesteśmy już przy murze otaczającym obóz koncentracyjny – dawny stadion zlotu „olimpijskiego”, gdzie w barakach mieszkali rekordziści. [...] Za murem las



Profesor Ignacy Chrzanowski z córką Hanną

wysmukłych sosen, na nich mnóstwo drewnianych gniazd dla przynęty ptaszek... Niemcy tacy rozmiłowani w przyrodzie... Powietrze przepyszne – iście sanatoryjne. (Kto wie, czy dzięki temu „tylko” tylu zmarło?) Widzimy z daleka bramę, przed nią straż. Legitymujemy się, puszczają przez bramę, każą się zameldować i prowadzą do poczekalni tuż za bramą. Jest 11 godzina.

Mała poczekalnia jasno wymalowana, tak na „wesoło”. Dziw, że kwiatów nie ma w oknie. Gorący piec, ciepło, przytulnie... [...]

Czekamy. Uplywa godzina, dwie. [...]

Siedzimy z Hanią cicho na dość wygodnych koszykowych fotelikach – w naprężeniu, kiedy wreszcie nas puszczą do trumny. [...] Już jest po 4-tej. Zmierzcha, zapalają elektryczność. Nam serca biją mocniej, bo chyba już niedługo na nas kolej. Godzina 5. Wchodzi młody żołnierz, wywołuje nas. (O Jezus, Maria! Wspomnienie tej chwili!)

Prowadzi nas przez wielkie podwórze do długiego baraku (tam wszędzie długie, niskie baraki), normalnie – szeregu garaży. Już zupełnie ciemno. Odsuwa wielkie drzwi. Odkręca elektryczność. W jej jaskrawej jasności Ignas w czarnej, drewnianej, prostej trumnie, wieko oparte o ścianę. Ignas?! Ten starzec dziewięćdziesięcioletni najmniej... Ten Ignas, już 74-letni, ale tak silny, krzepki! Czy bym Cię była od razu poznała, gdybyś leżał w szeregu z innymi, a nie sam jeden w tym małym garażu? Nic – że króciutka czupryna, że wąsy zgolone odstaniają zapadniętą wargę, ale te kości wystające

na zapadłych policzkach, nos wyostrzony, usta w półotwarte w bolesnym ostatnim wydechu.

Nic Ignas nie był zmieniony przez to, że widziałam go na szósty dzień po śmierci (był to pierwszy dzień małego mrozu po szeregu dni wielkich mrozów), ale widać było na tej biednej twarzy wszystko, co przeszedł i przecierpiał. Nie płakałam ani ja, ani Hania (teraz płacze...). Niewypowiedziane jakieś uczucie grozy, już wyjść, pożegnać Ignasia... A przecież dla tej właśnie chwili odbyliśmy tę pielgrzymkę. Poglaskałam po pomarszczonych rękach. Hania je gładzi: „Tatusiu, Tatusiu...”. Poglaskałam po krótko ostrzyżonej, mięciutkiej, gęstej siwej czuprynie, musnęłam ją pocałunkiem...

Leżał Ignas w białej papierowej koszuli, z białym papierowym krawatem, po pas przykryty papierowym prześcieradłem. Nieznośne uczucie męki niewypowiedzianej. Ja, która nie mam cienia lęku wobec zwłok. [...]

Może to atmosfera straszliwa całego obozu, może obecność tego młodego żołnierza, opartego niedbale o drzwi... Ja, z moim przytępieniem słuchem, tego nie słyszałam, ale Hania powiedziała mi później, że ten żołnierz cały czas, prowadząc nas przez podwórze, cały czas, gdyśmy stały przy trumnie – gwizdał... (Biedna duszo ludzka, coś do takiego doszła upodlenia!).

Stanęłam u nóg trumny. Co to? Wieniec?! Z jedliny i suchych liści dębu! „Wer hat das gebracht?” (Kto to przyniósł?). „Das geben wir für Alle” (To dajemy wszystkim). Wzdrygnęłam się na ten cynizm. „Haniu, już wyjdźmy”. Ostatnie pożegnalne spojrzenie... Ale już nie w tej trumnie trzeba było Cię szukać, Ignasiu! [...]

[Inny żołnierz] Prowadzi nas do drugiego biura, gdzie urzędnik w mundurze pyta mi się naprzód, czy mój mąż miał jakieś kosztowności. „Tylko obrączkę i stalowy zegarek”. Wtedy z najwyraźniejszym poczuciem wyższej kultury i nieposzlakowanej uczciwości niemieckiej podchodzi do półki z mnóstwem przegródek, bierze torebkę, rozrywa i oddaje mi jedno i drugie. „Wiele Pani przysłała pieniędzy?”. „40 marek”. „Es stimmt” (Zgadza się) – i wręcza mi 120 marek. „Co to za pieniądze?” „To te, które nieboszczyk miał przy sobie, przybywszy tutaj”. Uczciwość niemiecka mnie dusi. Więc miał tyle pieniędzy, z czego nic nie dostawał, a czekał z niecierpliwością, abym mu przysłała pierwsze 15 marek...

Żołnierz prowadzi nas do drugiego biura – aby odebrać ubranie. [...] Czekamy długą chwilę. Wraca żołnierz z więzieniem niosącym wielki karton, który stawia na stole. Wydobywają całe ubranie, grube palto, kapelusz, bieliznę, buty. [...] „Jest wszystko” – mówi żołnierz, podkreślając skrupulatną uczciwość. (Ach, gdyby Ignas był stał na tych rozpaczliwych apelach przy 30-to stopniowym mrozie – w swoim grubym palcie...). [...]

W jednym z biur pytałyśmy się – czy zwłoki muszą być spalone, czy nie mogłybyśmy je pochować w ziemi. Otrzymujemy

grzeczną odpowiedź („grzeczność”, „uczciwość” w tej przestrzeni okolonej owym murem – chwytala za gardło jak obręcz żelazna), że jest stanowczy nakaz, by do końca wojny zwłoki wszystkich jeńców były spalane. Pytam, kiedy więc wywożą trumnę do krematorium. Zapewne nazajutrz rano. Bierzemy adres krematorium. [...]

Mówimy do siebie, co za ulga, że odbywamy tę straszną pielgrzymkę we dwie. Nieszczęsne te wdowy, które tam były same.

Teraz trzeba jechać do krematorium. Jedna z wdów dała nam informację, że w krematorium może być odprawiona msza przy trumnie, więc chcemy się o to postarać. [...]

Dowiedziałyśmy się, jak załatwić formalności, by przysłać urnę. Bardzo prosto: zapłacić parę marek przez pocztę i przysłać zezwolenie cmentarza, że urnę przyjmie. [...]

Po przyjeździe z Berlina zastałam ostatnią kartkę Ignasia:

14 I 1940

„Moja najdroższa Mamusiu i Kiciusiu! Bądź spokojna – jestem zdrow. A wy? A Dań? I inni. Mamy prawo co tydzień przekazywać do domu przez bank sto złotych – to prawo musisz wykorzystać i prosić niezwłocznie dyrektora o obniżenie opłat od naszego depozytu. Wiele ucałowań.

Twój na zawsze Ignacy Chranowski”. [...]

„Bin gesund” [Jestem

zdrow]. Ledwo pisał, tak mu dokuczał nerwoból w prawym ramieniu, pisał z taką trudnością, że prof. Pigoń chciał go zastąpić, ale Ignas się nie zgodził, bo bym się mogła przestraszyć, że sam nie pisze... „Bin gesund” – a już miał wtedy zapalenie płuc, była to niedziela 14-go, a w poniedziałek odprowadził go prof. K. [prof. Władysław Konopczyński] do „szpitala”, bo już był tak bardzo słaby. [...]

W sobotę 20 stycznia na rannym apelu oznajmiono kolegom śmierć Ignasia. Trudno im było uwierzyć. Wiadomość o jego śmierci zrobiła wśród nich wyjątkowo wielkie wrażenie, choć na tylu apelach oznajmiano im o tylu zgonach tylu kolegów... [...]

Równow w 3 tygodnie po śmierci Ignasia, w piątek 9 lutego, wróciła z Sachsenhausen większość starszych profesorów. Zaraz po obiedzie się o tym dowiedziałam: radość i ulga pomieszana z takim bólem, z takim bólem...

Gdy trochę wypoczęli, zaczęli mnie odwiedzać i co który mógł, opowiadał o Ignasiu. Więc, że Ignas dobrze się duchowo trzymał, nie tracił nadziei w sprawę Polski, długo nie poddawał się osobistemu przygnębieniu, dopóki nie zachorzał poważnie. [...] Polecił powiedzieć mi, że mnie nigdy tak nie kochał, jak teraz... Że kocha Bohdana i Hanię... [...]

Jeszcze wtedy, gdy leżałam chora, Hania zamówiła mszę żałobną i zawiadomiła grono przyjaciół i uczniów. Uczniowie zaś czekali ze mszą, aż ja będę mogła być na niej obecna. Tyle było nabożeństw żałobnych za Ignasia, bo tylu uczniów



Grób rodziny Chranowskich na cmentarzu Rakowickim



*i uczennic zamawiało poza tym tyle mszy. I znajomi księża samorzutnie odprawiali msze za jego duszę. Tyle, tyle miałam dowodów przywiązania, czci, miłości dla ukochanego profesora! I jak zawsze za jego życia coś znaaczyłam dlatego, że byłam jego żoną, tak teraz ludzie z nim związani tyle mi życzliwości, tyle serca i przyjaźni okazują przez pamięć o nim. Ludzkie serca się tak dla mnie dzięki niemu otworzyły i tylu ludzi stało się dla mnie bliskimi! [...]*

*Tyle, tyle mam wdzięczności dla tych kolegów Ignasia, którzy mnie odwiedzali, opowiadali o Ignasiu, tak się cieszyłam, gdy ich zobaczyłam żywych i zdrowych! Był też u mnie dobry ks. M. [ks. prof. Konstanty Michalski]. Był w zupełnie oddzielnym baraku razem z duchownymi różnych wyznań i nie mógł Ignasia w Sachsenhausen widywać, ale mi powiedział jedno, że na mocy kilku dawniejszych rozmów może mię zapewnić, że mogę być spokojna, bo Ignas na pewno umierał w Chrystusie...*

*Długo bardzo przyszło nam czekać na nadesłanie urny. Już się niepokoiłam, czy jej nie zawieruszyli, i prześladowała mnie myśl, czy mi innych prochów nie nadeślą. Ale „uczciwość” i „sumienność” niemiecka...*

*Z góry obstalowałam dębową, dziecienną trumienkę... Władek Czaplński zaproponował mi, żeby ją złożyć tymczasowo w ich grobie rodzinnym na krakowskim, rakowickim cmentarzu. Wreszcie przyszła wiadomość z zakładu pogrzebowego, że urna jest i złożona w tym zakładzie. [...]*

*Sluchy chodziły, że nie tylko zabroniono klepsydr zawiadamiających o śmierci profesorów zmarłych w Sachsenhausen i zawiadomień o nabożeństwach żałobnych, ale że na pogrzebach mogą być obecne tylko 2 najbliższe z rodziny kobiety. I tak było na pogrzebach poprzednich. Pogrzeb nasz odbył się 7 marca o godzinie 15.00. Zaniechałam klepsydr, ale nauczona nie dowie-*

*rać rozsiewanym plotkom, powiedziałam paru osobom o dacie pogrzebu, tak że na cmentarzu było 14 osób. [...]*

*Ksiądz nadszedł, wtedy Hania uniosła trumienkę i wyszła z nią na dwór, a ja już z nią razem niosłam ją do dalekiego grobowca Czaplńskich i Kaliszów. Obcy ludzie, którzy to widzieli, myśleli na pewno, że to matka i babka niosą małe dzieciątko do grobu. Ale w tej trumience chybotwała się i tłukła o deski ta ciężka urna. Słyszmy ostrożnie, aby jak najmniej tego stuku słyszeć, ale za każdym krokiem lekki stuk... I znów to nieznośne uczucie ostatecznie napiętej struny, jak tam, w Sachsenhausen przy trumnie Ignasia: żeby już dojść i niech się to już skończy.*

*Nareszcie spuścili trumienkę... Salve Regina... Zamknęli grobowiec.*

*Dzięki Ci, Ignasiu, za te 40 lat wspólnego życia!...*



*Wanda Chrzanowska z domu Szlenkier  
– żona profesora*

Profesor Ignacy Chrzanowski został pochowany na cmentarzu Rakowickim w grobowcu Czaplńskich i Kaliszów dzięki profesorowi Władysławowi Czaplńskiemu – mężowi bratanicy Ignacego Chrzanowskiego. Powtórny pogrzeb profesora odbył się w październiku 1947 roku. Cztery lata później, w roku 1951, w tymże rodzinnym grobowcu została pochowana jego żona, Wanda Chrzanowska, a w 1973 – córka Hanna. Umieszczona została także tablica upamiętniająca syna Bohdana.

**Opracowała Marzena Florkowska**

*Wspomnienia o Sachsenhausen Wandy Chrzanowskiej, „Litteraria” VIII 1976, s. 154–185.*

*Zdjęcia, pochodzące ze zbiorów rodzinnych Chrzanowskich i Czaplńskich, zostały udostępnione dzięki życzliwości Heleny Matogi.*



## OFIARA DWÓCH TOTALITARYZMÓW

**L**ech Władysław Haydukiewicz urodził się 10 stycznia 1915 roku w Orłowej na Zaolziu w rodzinie o patriotycznych tradycjach. Jego ojciec – Józef Haydukiewicz (1883–1969) – był profesorem w Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego w Orłowej, założonym przez Macierz Polską, zaś dziadek – Władysław Haydukiewicz (1857–1919) – dyktował Towarzystwom Powrończemu i Zaliczkowemu w Radymnie koło Jarosławia. Szwagrem matki Lecha – Zofii (1887–1920), z domu Kwiatkowskiej – był Zbigniew Trylski, wieloletni naczelnik Związku Harcerstwa Polskiego. Babka po mieczu – Maria (1862–1926), z domu Macharska, była stryjeczną babką księdza kardynała Franciszka Macharskiego.

Dzieci Józefa i Zofii Haydukiewiczów urodziły się w Orłowej. Siostra Lecha Anna (po mężu Malawska) była od niego trzy lata

młodsza. Ich dzieciństwo zaburzyła ciężka choroba matki, która zmarła na gruźlicę, gdy mieli po kilka lat. W okresie jej choroby Lech i Anna mieszkali u babci Marii w Radymnie. W roku 1920 Józef Haydukiewicz znalazł pracę w Krakowie, w X Żeńskim Państwowym Gimnazjum im. Królowej Wandy, jako profesor historii i geografii. Od listopada 1922 roku cała rodzina Haydukiewiczów – Józef wraz z dziećmi oraz matką i siostrą Leopoldą – zamieszkała razem w Krakowie.

Lech Haydukiewicz w 1933 roku ukończył IV Gimnazjum im. Henryka Sienkiewicza i rozpoczął studia z historii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Od 1937 roku był asystentem wolontariuszem przy Katedrze Historii Nowożytnej u prof. Władysława Konopczyńskiego. W trakcie studiów wstąpił do Stronnictwa Narodowego i do Młodzieży Wszechpolskiej, pełniąc w latach